

# Tadeusz Komendant

---

## Związki nienaturalne

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (41), 160-165

---

1996

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Tadeusz Komendant*

## **Związki nienaturalne**

Stefanowi Chwinowi  
z podziękowaniem, że napisał  
o *Lustrze i kamieniu* raz jeszcze

1. Najchętniej bym to, co tu piszę, nazwał — niezobowiązująco — gawędą, żeby osłabić kategoryczność sądów, do której skłania mnie moja dykcja pisarska. W swoich tekstach unikam na ogół klasyfikowania książek na zasadzie podobieństwa tematów czy, gorzej jeszcze, domniemanych intencji autorów, choć nie zawsze robię tak w życiu, dlatego *Uczta Trymalchiona* stoi u mnie na półce obok *Kuchni polskiej*. A tutaj zamierzam postępować podobnie, zestawiać książki o różnej przynależności gatunkowej i o różnej wadze artystycznej. Na dodatek w tej opowieści opierać się będę raczej na własnych wspomnieniach uczestniczącego obserwatora, a nie na wnikliwej (musiałaby być powtórna) lekturze przywoływanych dzieł. Nie b a d a m, lecz g a d a m: ot, takie tam zeznania świadka, któremu za bardzo ufać nie należy. Ale coś było na rzeczy i w piśmie zostały po tym ślady: a czy to zjawisko literackie było, czy był to fenomen socjologiczny, czy może (nie tylko moje) pobożne życzenie, nie rozstrzygam.

Chodzi o *roots*, korzenie. Przeżycie pokoleniowe. Telewizja Szczepańskiego nie wiedziała, co robi, kiedy (wrzesień–listopad '79) wyświetlała nam serial o Kunta–Kincie.

2. Jest rok 1978. Odbywają się Opolskie Dni Literatury, temat dnia: „pisarz a ziemia”. Przemawia Henryk Bereza:

We wszystkim, co się tu mówi o świecie pierwszym pisarza, o pierwszej kreacji, o „ziemi wewnętrznej” i ziemi w sensie dosłownym, chodzi o świat w zasięgu ludzkiego wzroku, ponieważ w świecie o takim mniej więcej wymiarze pierwsza kreacja wszystko potrafi zmieścić, jej świadoma kontynuacja natomiast wszystko z niej potrafi wyprowadzić.

Wielka ojczyzna, świat i wszechświat, niebo i piekło w nim mają swoje jedyne źródło i z niego się dla każdego wywodzą. W tym świecie jesteśmy — wprawdzie nie fizycznie, ale duchowo — uwięzieni, temu duchowemu uwięzieniu podlegają wszyscy ludzie, czy się do tego przyznają lub nie, w życiu praktycznym to uwięzienie jest z pewnością ciężarem, dla twórców jednak jest to uwięzienie zbawienne.

Czyż nie temu uwięzieniu właśnie zawdzięczają swoje sukcesy pisarze nurtu chłopskiego w Polsce? Fizycznie większość z nich odeszła od swojej „rodzinnej ojczyzny”, duchowo prawie wszyscy istnieją tylko w niej, w jej skończoności odnajdując wszelakie nieskończoności ludzkich światów...

Autor *Związków naturalnych* wygłosił tu swoje wyznanie wiary, w tej funkcji przedrukowywał zresztą potem ten tekst. Mała ojczyzna, rodzona ziemia określa pisarza na zawsze, przesądza bowiem o jego świecie wyobraźni i pierwszym języku. Zdradzają nas sny, wracamy w nich bowiem do dzieciennych stron (Bereza zapisuje sny od dwudziestu lat, a większość z nich rozgrywa się w przemielonym przez jego wyobraźnię pejzażu Skierniewic), zdradza nas mowa, bo tylko językiem wyuczonym jako pierwszy umiemy posługiwać się naprawdę (Bereza, choć nie czytuje ani po rosyjsku, ani po angielsku, *a priori* nie uznaje Nabokova za pisarza — a to dlatego właśnie, że posługiwał się on oboma językami naraz; doświadczenia wielojęzyczności mieszkańca kresów i peryferii Europy, opisywanego na przykład przez Stempowskiego, nie przyjmuje do wiadomości).

Język i wyobraźnia zamiast ziemi i krwi. Literatura związków naturalnych, którą promował, nie ma nic wspólnego z „literaturą blubo” (określenie Huberta Orłowskiego z fundamentalnej książki *Literatura w III Rzeszy*). Bereza ma dobre prawo twierdzić, że:

pisarz jest uwięziony w swoim wewnętrznym świecie pierwszym, wyzwolić się od niego nie może, choćby chciał lub musiał, nie powinien zresztą ani chcieć, ani musieć, powinien go w sobie pielęgnować, uprawiać i wzbogacać, powinien strzec jak źródła swego życia i swej twórczości.

Zrozumiałem to znacznie później, dlatego *Lustro i kamień* (opatrzone przesadnie erudycyjnym komentarzem nikiforma powstała w miejscu mojego urodzenia; mitologizowałem w niej swój pierwszy świat) zadedykowane zostało Henrykowi Berezie.

Wydawałoby się, że literatura korzeni powinna mieć ścisłe związki z literaturą związków naturalnych, z wyodrębnionym przez Berezę nurtem chłopskim. Zacytowane tu wyznanie wiary można by przecież uznać za manifest tej literatury. Tymczasem wcale nie; związki są incydentalne, po obu stronach panuje niezrozumienie, a niekiedy nawet wrogość. Bereza zdecydowanie nie ma serca dla najlepszych nawet dzieł tego nurtu mitograficznego. Tak samo i ten nurt nie umie rozpoznać się w zarysowanej przez Berezę genealogii. Gdzie indziej widzi swoich przodków.

Zacznijmy bowiem od tej sprawy.

3. Dla mojego pokolenia, dzisiejszych czterdziestolatków, w pewnym momencie zaczęły się liczyć rodzinne genealogie i historia regionu. Być może była w tym psychologiczna konieczność: dano nam żyć w państwie o ruchomych, jak nadmorskie wydmy, granicach, w którym na dodatek decyzją generałów anulowano czas. Martwe zakola czasu stanu wojennego sprzyjały zainteresowaniu przeszłością. Pokolenie naszych rodziców, poddane okrutnemu eksperymentowi wykorzenienia, zacierało za sobą, jak lis ogonem, ślady. Robiło to z fałszywego wstydu (chłop, który stawał się mieszczańinem, wyrzekał się wiejskiej tradycji) lub prawdziwego strachu (pochodzenie społeczne i miejsce urodzenia mogło być piętnem). Myśmy te ślady próbowali odczytać. W gadaniu (stan wojenny sprzyjał kontaktom towarzyskim, ile się wówczas gadało!) i pisaniu. A chodziło w tym wszystkim o wyjście z zakłętego kręgu ideologii. Każdej ideologii. Widać to doskonale w *Rozmowach polskich latem 1983* Jarosława Marka Rymkiewicza. Od tej książki przecież zaczyna się jego „powiatowa” filozofia.

Pod koniec lat osiemdziesiątych byłem głęboko przekonany o psychicznej potrzebie i realnym istnieniu takiej literatury. Literatury związanej z konkretnym miejscem, „naszym powiatem”, w którym przegląda się wszechświat. Wówczas to zaproponowałem krakowskiej Oficynie Literackiej serię książek „Otawa”. Tak tłumaczyłem nazwę serii na czwartej stronie okładki:

Znakiem ciągłości życia jest trawa, uparta i bez ideologicznej ojczyzny. Trawy nie można wykośić do końca, odrasta i daje następny pokos. *Otawa* to — według *Malego słownika języka polskiego* — „trawa odrastająca po skoszeniu”.

Świadectwem ciągłości życia są prywatne biografie. Historii nie można zadekretować i zaczynać wszystkiego od początku. Prywatność „małych ojczyzn” skutecznie przeciwstawia się zabiegom

akuszerów Historii i — paradoksalnie — tworzy obraz „długiego trwania”.

*Otawa* to seria książek napisanych przez osoby, które w prywatnej biografii i historii małych ojczyzn szukają znaków ciągłości.

W tej serii, z przyczyn pozamerytorycznych, ukazały się tylko dwie książki: *Krótką historia pewnego żartu (sceny z Europy Środkowowschodniej)*, Stefana Chwina i moje *Lustro i kamień (prywatny syllogizm)*. Szkoda, znalazłoby się takich rzeczy więcej.

Bo lata osiemdziesiąte to czas literatury mitograficznej. Na przykład *Krótkie dni* Włodzimierza Paźniewskiego, *Zagłada* Piotra Szewca, niedawny *Biały kamień* Anny Boleckiej. Także *Studnia* Michała Jagiełły. Zmiana tonu w pisarstwie Grzegorza Musiała: *W ptaszarni*, jedna z najważniejszych książek dziesięciolecia. Sławny *Weiser Dawidek* Pawła Huelle. *Boża podszewka* Teresy Lubkiewicz–Urbanowicz. *Lida* i *Pan Bóg nie słyszy głuchych* Aleksandra Jurewicza.

Mam nieodparte wrażenie, że ta literatura korzeni wywodzi się z literatury kresów, która tworzyła mit Galicji i Litwy. Jej protoplaści — to Andrzej Kuśniewicz i Tadeusz Konwicki. Wymieniam ich nazwiska w charakterze haseł, bo ważni byli i inni: Julian Strykowski, Leopold Buczkowski z *Czarnym potokiem*, Andrzej Stojowski, Włodzimierz Odojewski, Zbigniew Zakiewicz z *Rodem Abaczów...* Dzieła tych pisarzy — a warto zauważyć, że są to rzeczy o wysokim stopniu komplikacji, podejmujące wyrafinowaną literacko grę — poddano pod koniec lat siedemdziesiątych szczególnej lekturze. Przystawała się liczyć ich literackość, w cenę rosła topografia. Zaczęto je czytać jak autentyki, szukając w nich prawdy miejsca i doświadczenia.

To grzech pierworodny tej literatury, z którego bierze się jej największy paradoks: gra w chowanego między fikcją a realnością. Powieści mitograficzne chwalone są nie za to, czym są — literaturą. Podziw i zachwyt budzi w nich natomiast to, że próbują dotrzeć do prawdy korzeni — do biograficznego konkretności. *Weiser Dawidek* czytany był nie dlatego, że wcale udatnie manipuluje literackimi kliszami; interesujące w nim wydawało się to, że starał się uchwycić doświadczenie ważne dla powojennego pokolenia gdańszczan. Ze przekopywał się przez zwały literackości na drugą stronę: do życia samego, do doświadczenia konkretnego miejsca i czasu.

Pewnie dlatego nie mogło być porozumienia między literaturą związków naturalnych a mitograficzną literaturą korzeni. Ta pierwsza za punktu wyjścia bierze świat pierwszy pisarza, dany w języku i wyobraźni. Zadanie polega na tym, aby ten wiarygodny i autentyczny świat zamienić w świadomą siebie, wielką literaturę. Tymczasem

w mitograficznej literaturze korzeni pierwotne jest doświadczenie nieautentyczności i wydziedziczenia. Odebrano i nam zakłamano nasz pierwszy świat, mozolnie trzeba go teraz rekonstruować i odbudowywać. Choć ta literatura bywa czasem aż nazbyt literacka, wcale nie o literaturę w niej chodzi.

Ta formuła straciła dziś swoją nośność, dlatego sędzę, że mitograficzna literatura korzeni dobiega właśnie kresu. W mojej prywatnej historii literatury otwiera ją w roku 1983 Włodzimierz Paźniewski *Krótkimi dniami*. „Nigdy nie byłem w tym domu, a przecież pamiętam wszystko doskonale” — tak zaczyna się ta powieść o imaginacyjnym dzieciństwie spędzonym w Krzemieńcu, czuły pastisz literatury galicyjskiej. Zamyka wydana w roku 1996 książka Olgi Tokarczuk *Prawiek i inne czasy*: literacka kreacja *ex nihilo* skazanych na zagładę światów pierwszych.

4. Lata osiemdziesiąte to także czas budowania prywatnych mitologii związanych z miejscem urodzenia i odkrywania tych miejsc na nowo. W PRL-u geografia podlegała władzy polityki, albo — co na jedno wychodzi — mitologii. Prapolskie były ziemie odzyskane i prapolskie kresy. Nie widziano skomplikowanej historii tych ziem. Wrażliwość na mowę miejsc rodzi się późno. Przydała się tu zresztą lekcja niemieckiej prozy kresowej: Güntera Grassa, Siegfrieda Lenza.

Tak odczytuję *Krótką historię pewnego żartu* Stefana Chwina: jako esej o budzeniu się świadomości w PRL-u i o odczytywaniu palimpsestu, jakim jest — ze względu na miejsce i ludzi — Gdańsk. Julian Kornhauser opisujący swoje gliwickie dzieciństwo w *Domu, śnie i grach dziecięcych* też przecież nie pisze powieści, przedstawia raczej fenomenologię swojej świadomości. W *Lidzie* Jurewicza nie obchodzi mnie literatura, ale Lida. Sergiusz Sterna-Wachowiak do tej pory zajmuje się swoją Wschową. Kazimierz Brakoniecki i środowisko skupione wokół „Borussii” — Warmią i Mazurami. Henryk Waniek (*Hermes w górach śląskich, Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257–1957*) — Dolnym Śląskiem.

Te teksty często sytuują się na obrzeżach czystej literatury, inną mają do spełnienia funkcję: wymieniam je tutaj, bo są kolejnym świadectwem powrotu do świata doświadczeń dzieciństwa związanego z „małą ojczyzną”. Do świata, który nie jest pierwotną daną doświadczenia, lecz trzeba go mozolnie rekonstruować. Na wielu płaszczyznach: topograficznej, politycznej, historycznej, biograficznej... Także lite-

rackiej, aczkolwiek podejmowane zabiegi mitograficzne służą tu demitologizacji i prawdzie osobistego doświadczenia.

Zgoda, była to (ciągle jest jeszcze?) szlachetna utopia i kolejna próba wykorzystania literatury do celów, które nie są wyłącznie literackie. Może ostatnia próba, jaką jeszcze podejmować warto: bo chodziło w niej przecież o odbudowę integralności jednostki ludzkiej. Literatura, można by rzec, bawiąc się słowami, *ego-* i *ekologiczna*: chciała pojednać nas ze światem.

Ona dochodziła dopiero do związków naturalnych, rekonstruowała wyobraźnię i szukała swojego języka. Jeśli nawet nie zawsze jej to się udawało, znaczenie, jakie miała w kształtowaniu świadomości moich rówieśników, trudno przecenić.

*Tadeusz Komendant*